Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 5.** **Leszno,** *dnia* 3. *Sierpnia* 1839.



Józef Peszka.

Do najcelniejszych współczesnych nam malarzy polskich, należał niezaprzeczenie Józef Peszka. Zebrawszy więc wiadomości dotyczące życia i prac tego męża, dla zachowania od zagłady, pospieszamy z udzieleniem ich w niniejszém piśmie lubownikom pamiątek ojczystéj szkoły malarstwa. Józef Peszka urodził się w Krakowie 19. Lutego 1767 r. z Piotra i Sabiny Peszków, mieszczan krakowskich. Okazując od dzieciństwa talent do rysunków, przez rodziców oddany był ze szkół do Dominika Estreichera, malarza i nauczyciela publicznego rysunków w Krakowie. Nieuszedł oka Hugona Kołłątaja talent młodego Peszki. Zachęcony przez niego, udał się wcześnie do Warszawy, i tam przez lat kilka pod okiem Franciszka Szmuglewicza pracował, i wkrótce do tak wysokiego stopnia w sztuce malarskiéj postąpił, iż już w czasie czteroletniego sejmu, malowaniem potretów wziętość sobie zjednać zdołał. Kiedy Szmuglewicz na professora malarstwa przy uniwersytecie wileńskim powołanym został, nieodstępny jego towarzysz, Peszka, porzucił Warszawę, i razem z swym nauczycielem do Wilna

się udał. Ztąd robił Peszka wycieczki do Petersburga, Witepska, Mochilewa, Mińska, i bawił w wielu domach zamożnych gubernij litewskich i rossyjskich, bo jego talent i słodki charakter, wszędzie mu przystęp jednały. W roku 1807 za namową brata swego, rektora Missyonarzy w Moskwie, zjechał do téj stolicy, gdzie lat cztery przepędził. W epoce téj Józef Peszka nie samemi tylko trudnił się portretami; zostawił i obrazy historyczne własnéj kompozycyi. W Petersburgu, dokąd z Szmuglewiczem był wezwany, w pałacu cesarza Pawła znajdują się prace ręki jego. W roku 1809, okazawszy dzieła swego pomysłu, uzyskał od Uniwersytetu wileńskiego stopień magistra sztuk pięknych. Pamiętna wyprawa wojenna w r. 1812, zniewoliła Peszkę do opuszczenia Moskwy, i w roku 1813, po trzydziestu latach nieobecności, powrócił do rodzinnego miasta Krakowa, gdzie mile przyjęty, w roku 1817 przez kommissarzy pełnomocnych do organizowania miasta Krakowa i jego okręgu, przez trzy najjaśniejsze dwory delegowanych, professorem publicznym malarstwa i rysunków przy uniwersytecie Jagiellońskim mianowany został. Na téj posadzie Peszka oddany ciągłéj pracy i dla uczniów swych wylany, zostawał aż do dn. 4. Września 1831 r., w którym w 64. roku wieku swego życie na cholerę zakończył. Pozostawił wdowę i jedyną córkę. Śmierć Peszki pogrążyła w nieutulonym żalu uczniów i przyjaciół, bo dla pierwszych był prawdziwym ojcem, drugich szlachetne jego przymioty przyjaźń mu stałą jednały. Wszystkie chwile wolne od pracy, poświęcał Peszka własnemu kształceniu się czytaniem historycznych książek, a mianowicie dziejów ojczystych dotyczących. Dla tego nieobce mu były i dawne kroniki polskich pisarzy. To zamiłowanie w rzeczach ojczystych, było źródłem wielu prac jego, które po sobie zostawił. Oprócz bowiem portretów, obrazów familijnych, religijnych i widoków aquarellą z natury w Polsce i Rossyi robionych, zostawił Peszka kilkanaście dużych obrazów, wystawiających zdarzenia polskie, jako to: zwycięztwo Sobieskiego pod Wiedniem, przyjęcie królowéj Jadwigi przez posłów na granicy węgierskiéj, Małgorzata Zębocińska, zdrada Zbigniewa, Władysław Jagiełło i posłowie krzyżaccy, Stefan Czarniecki, oblężony w Krakowie i t. p., jak niemniéj sześćdziesiąt kilka z dziejów polskich pomysłów, wykończonych tuszem na papierze, i zbiór strojów i uzbrojeń dawnych Słowian i Polaków, zebranych z starożytnych pomników, lub z opisów dawnych pisarzy, przez Peszkę w szkicach rzuconych. Ostatnie dwa zbiory świeżo nabyte zostały przez znanego miłośnika sztuk pięknych, W. Gwalberta Pawlikowskiego. Niektóre obrazy olejne są jeszcze do nabycia w Krakowie. Wizerunek Józefa Peszki zdjęty jest z obrazu familijnego, przez niego samego malowanego. *W. K.*

Bołdy *)
na Sokołowém w Polanicy.

Przedgórza Karpatów stryjskich wybiegają nierzadko w mury ogromnych jednostajnych skał, które najczęściéj od gór podnóża wysoko nad ich wierzchołki się wznoszą. Zdobią one osobliwszym sposobem wybrzeża Stryju, Oporu i Briezki, i są jakby wystawy i godła, wywieszone od przyrody, dla uprzedzenia przechodnia, w jakie królestwo wstępuje. Przechodząc przed kilką laty z Sinowódzka do Urycza, ujrzałem za Kruszelnicą rzędy ogromnych zabudowań, którym dla spóźnionéj dnia pory dokładnie przypatrzyć się niemogłem. Poznawałem z daleka korynckie słupy z ich nagłówkami, wysokie piętra i krużganki ubielone księżyca promieńmi i gęsto łamiącym się cieniem przecięte. Śledziłem w różnych kierunkach ciągnące się ulice; niemałym tylko było mi dziwem, że ani w oknach światła upatrzyć, ani z ulic wrzawy, ba i najmniejszego gwaru dosłyszeć niemogłem. Wyobraźnia moja przylgnęła mocno ku temu, jakby zaklętemu miastu, do którego w spiesznym moim pochodzie zboczyć, było mi rzeczą niepodobną. Wracając dopiero z Urycza przez Podhorodzie, miałem czas i sposobność przypatrzyć się z bliska i po dniu białym téj okolicy, a w miejsce gmachów i słupów korynckich, ujrzałem pasma skał nagich, ciągnące się z zachodu ku wschodowi, jakby kołowaniem ziemi wyrzucone, rozmaitéj postaci i składu, najczęściéj wydrążone i kończące się w wysokie ostrosłupy, nad któremi się mnóstwo orłów kołysało. Pojedyńcze takowe skały napotykałem po lasach w całéj mojéj wędrówce ku Beskidowi, najwięcéj zaś i najosobliwsze w okolicach Skolego. Położenie ich zwyczajne ku pochyłości gór, wyjaśnia ich początek. Sąto pospolicie jądra gór, którym spłukiwana z wierzchu ziemia w okropną wielkość rość dozwoliła, a przyrodzona miękkość kamienia oddała burzy i piorunowi rząd ich postaci. Pełno w nich bądź przypadkowych, bądź umyślnych, z niemałą pracą dokonanych wydrążeń, a te ostatnie zasługują na szczególniejszą uwagę. — Lud w różnych stronach nazywa różnie takowe skały. Berdy, bołdy, chełmy, niekiedy uszczołby, są to słyszane dotąd miejscowe ich miana. Najznakomitsze z tych, które oglądałem, tak przez swój skład osobliwszy, jako i znajdujące się w nich wydrążenia są te, których szczegółowemu opisowi tych parę stronnic święcę, zatrzymując w ich opisie właściwą, w ustach okolicznego ludu żyjącą ich nazwę: Bołdy.

Na obszernéj dolinie, ciągnącéj się od Karpatów ku Bolechowu, którą jedna z piękniejszych rzek górskich, Briezka, przerzyna, leży

*) **Bołd**, znaczy massę skał; podobnie jak bołdur oznacza w powiatowszczyźnie skupioną chmur massę.

wieś Polanica. Grunta jéj w górzystéj stronie północnéj, zwane sokołowe, stykają się z gruntami Bubniska i Truchanowa. Ta część najeżona jest mnóstwem bołdów, z których wyższe w dniu pogodnym o mil parę z równiny bolechowskiéj, lub okolic truchanowskich, ujrzeć można. Zbliżając się ku nim od strony południowéj przez wysoką połomicę, borem okrytą, wychodzi się na niewielką polanę. Na raz odsłania się tu przed okiem okrągły góry wierzchołek, w koło wiekowemi bukami obrosły, mieniący się barwami gęstolistéj swéj szaty, którą wiatr z szelestem w rozmaite fałdy układa, a w ich środku, jakby jedno olbrzymie buczysko, w przedpotopowéj przyrodzie wybujałe, liści i konarów pozbawione, i płową mchu szatą okulane, wznosi jeden z najwyższych bołdów spokojnie surowe swoje oblicze. O kilkaset kroków odkrywa się cała ich gromada, tak jak ją załączona rycina, na miejscu przez naszego ziomka rysowana, przedstawia.

Skład ich ogólny ma postać warowni, przeciw zniszczeniom czasu umocnionéj, najeżonéj gęstemi wieżami i w olbrzymich rozmiarach. Dwie ściany skał, szczelnie się z sobą wiążących, 50. do 60. kroków długich, zamykają kąt prosty; mocny nasyp, czyli wał, od południa i wschodu, równolegle do ścian usypany, w którym ostatki muru widzieć się dają, oraz otaczająca je fosła, tworzy z powyższemi skałami nieforemny czworobok. W równych odstępach, ze ścisłém niemal odliczeniem kroków, wznoszą się na rogu wschodnio-południowym i południowo-zachodnim, pojedyńcze, w postaci głowy cukru, na kilkaset stóp wysokie kamienie, tworząc narożniki téj przyrodzonéj warowni. Dwa inne tejże postaci, nieco nawet wyższe, zajęły w dalszym troche odstępie róg północno-zachodni; stoją one obok siebie, a wierzch jednego z nich, wyobraża ogromną twarz człowieczą. Ściana skał od zachodu ma następujące wydrążenia, odznaczone dość wyraźnie na przyłączonéj tu rycinie. Pierwsze, jest długa izba foremnie wykuta, bez okien. Dwie kamienne przyspy ciągną się w dłuż ścian. Po nadłamanéj ku ich środkowi krawędzi można poznać, że pierwotne nieforemne wydrążenie, poprzedziło wykucie, które dziś oglądamy. Uwagi godna jest dość wysoka niża nadedrzwiami, jakby do wystawiania posągów zrobiona. Znajdujące się nad nią zakrojenie skały, zdają się świadczyć, o przytykającém niegdy do niéj pokryciu, celem zabezpieczenia tych wystaw od słoty. Nieco daléj ku środkowi, na spojeniu dwóch skał, jest wydrążenie, ciągnące się przez całą ich wysokość, u wierzchu otwarte, i zdaje się być od deszczu wypłukane; po lewéj stronie widać kamienną przyspę, jak i w poprzedniczém. Następuje izba czworogranna, któréj trzy ściany w skale wykute, czwarta zaś od wschodu domurowana. Kawał pobielonego muru pozostał jeszcze z téj ściany. Obok niéj jest jeszcze jedna izba, tym sposobem, jak pierwsza wykuta, lecz mniejsza nieco. Nareszcie wchodzi się za pomocą wschodów, umyślnie na to przyrządzonych, do dużéj izby na pierwszém piętrze. Uderza w niéj osobliwie czworogranne w jéj posadzce wykucie, mające postać głębokiéj studni, wysoko piaskiem i kamieniami zasypanéj. Z téj izby ciągnie się sklepiony wychód na skałę; w sklepieniu jego widać między łupanym kamieniem kawałki cegły. Prócz tych wydrążeń, jest jeszcze w ścianie północnéj jaskinia, jakby gwałtownym wpływem wody zdziałana, a w niéj na lewo niża ogromna, podmurowana od spodu. Większa część wydrążeń zakopcona jest dymem i mchem obrosła. Ze środka tego zamczyska prowadzą głęboko kowane schody w różnych kierunkach po całéj skał powierzchni, aż do najwyższego ich szczytu. Są one mocno wydeptane. Na samym wierzchołku skały, z którego na promień kilkunastu mil w około zajrzeć można, jest otwór wielkości kociołka piaskiem uścielony, kolebka i przytułek nie jednego z tych ptaków królewskich, co swoim tu pobytem nazwę temu miejscu nadały. Taki jest stan obecny tych bołdów. Chcąc z dostrzeżonych dziś znamion wyrzec coś pewniejszego o ich przeszłości, potrzeba uważać koléj, jakiéj wszystkie rzeczy podlegają. Cząstkowe osuwanie się ziemi, wystawiało je coraz bardziéj na ciosy burzy i ludu, gnieżdżącego się w ich okolicy. Do przyrodzonych lub przypadkowych klęsłości, przybywały ręką ludzką zrządzone, które ze zmianą potrzeb czasu mnożyły się lub przeinaczały. Wiek za wiekiem dotłaczał tu swoje piętna, a stan ich dzisiejszy przedstawia nam przewyżkę sił, które się tylu wiekom oparły, i zawiera w krótkości ich dzieje. Trzy są okresy, do których wszystkie tu wyciśnięte znamiona odnieść się dają. Pierwszym jest okres tułaczego, powiększéj części pasterskiego życia czerwonych Chrobatów. Odznacza on się zamiłowaniem i czcią przyrody, czyli wielobóstwem. Okres ten przeciąga się aż do ostatnich czasów bałwochwalstwa, i kończy się z jego upadkiem. Można twierdzić z niejaką pewnością, że za czasów tych przyrodochwalców, miejsce tyle odszczególniające się w całéj okolicy, było Bugajem, czyli miejscem świętem, do którego w dniach zwyczajnych surowo zabroniony był przystęp wszystkim, prócz kapłanów. Większa część wydrążeń należy do owych kamiennych, że tak rzekę, wieków, z których wykopywane toporki lub naczynia kamienne, tyle nas swojém misterstwem zadziwiają. Są one właściwe wiekom i ludziom, którym kruszec za mało jeszcze był znany. Wtedy to wznosiły się tu posągi Peruna i Łady, i nigdzie uroczyściéj nieprzemawiał bóg grzmiący, jak w kamiennym tych skał oddźwięku. Same nawet ich wierzchoły, tak zgrabnie twarze udające, mogły, za dołożeniem jakiembądź ręki, przedsta-



Bołdy na Sokołowém w Polanicy.

wiać bogów w całéj ich wielmożności. Stado krogulców rozweselało gaj święty, a szerokie do koła płyty kurzyły się żertwami ku czci bogów. Ilekroć spojrzałem na leżące niedaleko ztąd truchanowskie płyty, zdawało mi się, że to o nich słyszę głos Czestmira:

Dosiądź rumaka, niech wiatronogi
Skokiem jelenia knieje przebieży;
Jest tam w dąbrowie skała u drogi,
Bogów siedziba, ty na jéj szczycie
Hojnym obietem uraczysz bogi
Za wybawienie, za życie....

W zebraniu szczególnych nazw osad i miejsc okolicznych, jakiemi są: Pobog, Caryny, Sokołowo i t. p., możnaby znaleść dowód powyższego twierdzenia. Wyparte wreszcie i prześladowane wielobóstwo, mogło się w miejscu tak mało dostępném do najpóźniejszych przechowywać czasów. W drugim okresie napady i pustoszenia Tatarów zrobiły to miejsce dla okolicznego ludu warownią, i do tego to okresu odniósłbym okopy, mury i fossę, o których wyżéj namieniłem. Ku śledzeniu poruszeń nieprzyjacielskich, bardzo były nagodne wiodące pod wierzchołek schody, i w ówczasto znaczny one otrzymały przyrost. Wreszcie, z ustaniem napadów tatarskich i wzrastającą bezsilnością rządu, służyło to miejsce za przytułek nie jednéj zgrai łotrów, która prócz zakopconéj tu i ówdzie kryjówki, i powszechnego w umyśle ludu postrachu, żadnéj po sobie niezostawiła pamiątki. A to jest okres ostatni. Kilka wierszy, w żyjącéj kronice ludu zajrzanych, da się wygodnie odnieść w te trzy różne okresy. Najdawniejsza zapewne jest wieść między ludem truchanowskim słyszana. „Było dawnych ludzi zamiarem (tak opiewa powyższa kronika), wykować sobie całe miasto ze skał. Zabrano się żwawo do pracy, wstawały coraz nowe z łona ziemi kamienie, mnożyły się jaskinie, wrychle by przyprowadzone było wszystko do skutku, ale waśń dwóch naczelnych braci, zniweczyła uskutecznienie zamiaru i skończyła się bratobójstwem. Cała ta historya (dodaje opowiadacz) wypisana jest na tych skałach; mają się nawet tam znajdować wykute szczątki ich obrazów. *) Późniejsze jest to, co mi wieśniak jeden w Bubnisku powiadał, że pan jakowyś mieszkał w tych pokojach; nie bał on się nikogo, bo żadnemi wojskami nie można było nic zdziałać przeciw niemu. Zdaje się to wskazywać na jakiego starostę lub horodniczego, broniącego się przeciw Tatarom, lub innym wrogom dawnéj rzeczypospolitéj. A może był nim który z Konfederatów barskich, o nich bowiem powiadano mi wiele w okolicach Skolego, a na Beskidzie, niedaleko wioski Zupanie, pokazywano mi grób jednego z nich, poległego przypadkowo od swoich na placówce. — W końcu rozpowiada lud o Doboszu, jak tenże napadł był na miasteczko Bolechów w sam jarmark, i z łupami powrócił w swoje podówczas siedlisko: polanickie jaskinie.

*) Co do napisów starożytnych, na takowe tak tu, jak i w kilkunastu innych skałach, które wraz z towarzyszami kilkakrotnie opatrywałem, nie natrafiłem. Śmiem nawet twierdzić, że ich tu nigdy nie było i niema. Kilka kirylickich i hebrajskich wyrazów na płycie truchanowskiéj, są, po lepszém w nich rozpatrzeniu się, zwiedzających je gości nazwiska.

Nim zamkniem te słów kilka o Bołdach, rzućmy raz jeszcze okiem na ich okolicę i przebieżmy myślą ich dzieje. — Dzieci niepodległéj i bujnéj przyrody, składały niegdy wraz z ziemią jedno ciało. W następnych przemianach czasu były miejscem czci bogów, obroną i przytułkiem prześladowanéj cnoty, lub garści łotrów kryjówką. Odłączone od ziemi rodzinnéj, nagie i piorunami krajane, przedstawiają dziś, pośród kwitnącéj do koła przyrody, dziwne przeciwieństwo. Wyżółkła mchu garstka, gałązka sosny lub bluszczu, wciskając się pomiędzy rozpadliny skał, jak nadzieja w serce zrozpaczone, siłą się nadać im barwę życia, niepomne, że je przed czasem północny wicher obedrze. *A. B.*

Wystawa obrazów w Poznaniu.

Poznań, który z każdym dniem wzrasta, tylu pięknemi gmachami corok się przyozdabia, i życia i ruchu naukowego nabierać zaczyna, nie jest także obojętnym na sztuki piękne. Zawiązane tu przed kilku laty towarzystwo sztuk pięknych, wystawia co dwa lata na widok publiczny, w obszernéj sali hotelu drezdeńskiego, celniejsze obrazy mistrzów wszelkich szkół nowszych, a publiczność licznem odwiedzaniem wystawy dowodzi, że ją sztuki piękne przyjemnie zajmują. Nie zamierzamy zdawać czytelnikom Przyjaciela Ludu obszernéj sprawy z tegorocznéj wystawy; dotkniemy tylko z lekka niektórych lepszych obrazów, zostawując ocenienie reszty bieglejszemu w tém od naszego pióru.

W pierwszym przedziale sali zajął nasamprzód uwagę naszę obraz, przedstawiający zaprowadzenie chrześciaństwa w Polsce przez Mieczysława I., pędzla P. Suchodolskiego, artysty, dziś w Warszawie mieszkającego. Obraz ten przeznaczony jest do kaplicy Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w kościele katedralnym w Poznaniu. Artysta pochwycił zręcznie najważniejszy moment w wielkim dramacie nawracania ludu pogańskiego na wiarę chrześciańską, to jest publiczne niweczenie pogańskich bożków. Mieczysław I., w towarzystwie swéj małżonki, Dąbrowki, otoczony licznym dworem, siedząc na dzielnym koniu, przypatruje się z uroczystą powagą temu obrzędowi, mającemu w Lechii w moralnym i politycznym względzie zmienić zupełnie dawną postać rzeczy. Z lewéj i prawéj strony orszaku królewskiego widać grupy ludu pospolitego. Kilku barczystych i ogorzałych Lechitów kruszy po lewéj stronie siekierami posągi bogów. Znawcy chwalą szczególniéj wyraz twarzy, jaki artysta nadać umiał tym ostatnim. Czytać na nich można dreszcz przechodzący ich członki na myśl samę, że się na świętość, niedawno powszechnie czczoną, zuchwale targają; obawa, aby lżone bogi ojczyste srogiéj zemsty nie wywarły, ścina krew w ich żyłach; słowem, artysta pojął tu i oddał dokładnie w obrazie walkę wewnętrznego przekonania i opinii, od dziecińśtwa wpojonych, z nowemi o rzeczach wyobrażeniami i korzyściami, które ostatnie z sobą niosły. — Niemniéj podobają się znawcom konie i inne szczegóły w obrazie wspomnionym; za to przyganiają zbyt słaby koloryt, zwłaszcza obłoków. Wszakże piękny obraz ten, nieprzeznaczony bynajmniéj na wystawę, większy nierównie na widzach effekt sprawi w swojém właściwém miejscu, to jest w kaplicy królów polskich, gdzie jako część wielkiéj całości, podwyższy harmonijnie jéj piękność, odbierając sam od niéj nie mało blasku.

Obraz, wystawiający *pieśń wieczorną śpiewaka*, pędzla P. Huxoll z Frankfurtu nad Menem, tak jest piękny i liryczny, że widz patrząc nań, uczuwa całą rzewność poezyi Uhlanda. Życie niespokojne rycerza, jego walki i cierpienia, jego miłość i żal, odbijają się wyraźnie w twarzy śpiewaka, nucącego balladę. Inne szczegóły tego obrazu, jakoto dwa dziewczęta i brytan, niemniéj są dobrze oddane, ale w twarzy rycerza niedostrzegają znawcy właściwego, odpowiadającego przedmiotowi i sytuacyi, wyrazu, a zbyt bystry, acz z natury wiernie oddany, blask słońca, grupy oświecający, niweczy wszelki effekt tego, zkądinąd pięknego dzieła.

Pismo święte, jak zwykle, dostarczyło i tą razą artystom wiele materyi. Dwóch, to jest P. Wagner z Berlina i Besser z Warszawy, wzięli wątek do swoich obrazów z historyi króla Dawida. Obraz P. Wagnera wyobraża: *Ocalenie Saula w jaskini.* Pan Besser skreślił: *Zwycięztwo Dawida nad Goliatem.* W pierwszym obrazie chwalą znawcy dokładność w wykonaniu niektórych części, ale zarzucają artyście brak poetyczności, a tem samem zajęcia. W obrazie P. Bessera, twarz i postawa Dawida są bardzo pospolite, niemają życia, ani wyrazu, odpowiadającego wzruszeniom, które Dawida na widok olbrzyma przejąć musiały.

Obraz: *Żal Jakóba za synem Józefem*, pędzla P. Bender z Królewca, ma wiele zalet. Uderzają w nim szczególniéj pojedyncze figury, lubo całość nie czyni pożądanego effektu. Odbija tu dobrze niewinność małego Benjamina od zmyślonego żalu starszego brata jego, gdy Jakóbowi o losie Józefa donoszą. Głowa patryarchy mniéj za to udała się artyście; w twarzy jego nieczytamy owéj boleści, która serca ojcowskie po utracie ukochanego syna przenikać powinna.

Wypchnięcie z domu Agary, przez Dietrycha z Drezna, jest bardzo miernym obrazem. Grupowanie figur jest w nim takie same, jak w wielu innych, przedmiot ten wystawujących. Agara trzymając za rękę swego synka, opuszcza dom. Abraham idzie za nią i daje jéj na drogę rady i pociechę. Figury nie są w tym obrazie pod względem historycznym dobrze oddane; twarz Abrahama nie ma właściwego sytuacyi obrazu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bitwa pod Kircholmem.

Dawszy, ile możność pozwoliła, wyobrażenie o wojenności staropolskiéj, w numerach 28. 29. 30. 31. 33. 34. 35. 37. Przyjaciela Ludu z r. 1839; dla dopełnienia obrazu, następnie rozwiniemy teraz w szczegółach strategicznych *bitwę pod Kircholmem;* dla tego zaś tę a nie inszą obraliśmy, że już to policzyć ją należy do najsławniejszych bojów polskich, już też, ponieważ ze wszystkich najlepiéj wyświeconą została, i przez staropolskich latopisarzy, tudzież przez J. S. Bandtkiego *a*), Adama Naruszewicza *b*), J. U. Niemcewicza *c*), wreszcie przez Henryka Krasińskiego *d*).

Za czasów Zygmunta III., potężnéj Polski granice rozciągały się szeroko na wszystkie strony, albowiem od zatoki finlandzkiéj i brzegów Bałtyku, aż do Karpat i morza czarnego, i znowu od Odry po Dniepr i Dźwinę dosięgało państwo to rozległe od 48° do 58° szerokości, w szerz na 200, wzdłuż na 240 mil niemieckich; złożone z 18 millionów mieszkańców, spólnością kolebki, obyczajami, mową jednorodnych. Dochód publiczny wówczas był znakomity, urządzenia wojenne zastósowane do przyjętych zasad; więcéj jednakże siła na chęci odznaczenia się i waleczności możnych, aniżeli na dobrze zaprowadzonym porządku spoczywała; przemysł i bogactwo w całym kraju ożywione; lecz władza wykonawcza już nazbyt określona, straciła równowagę do innych ogniw ruchu publicznego, i nie wiele sprężystości w działaniu rozwinąć mogła, musiał przeto w rzeczy publicznéj zakradać się nieład.

Szwecya była wprawdzie natedy nie wielkiém państwem, do 4 millionów ludności liczącém, ale władza samowładnie w ręku jednego skupiona, silny wpływ na zewnątrz wywierać mogła o tyle, o ileby zapał ożywiał władzcę; a właśnie téż Karól Sudermanii z dumy i popędliwości zasłynął, odpowiednio utorowawszy drogę do sławy synowi Gustawowi Adolfowi. Ze wszystkich narodów, z któremi Polakom przez tyle wieków przyszło wchodzić w zapasy, Szwedzi najstraszniejszymi byli; więcéj od innych mężni, zręczni, cierpliwi na głód, zimno i wszelkie bojowe niewygody, dotrzymywali w polu z orężem w ręku; ożywiała ich na wskróś umiarkowana wolność; zahartowani na łowach i rozlicznych trudach od młodości, gardzili niebezpieczeństwy; prowadzeni przez wybornych jenerałów i officerów wszelkiéj broni, kiedy mianowicie stanął na ich czele władzca w kwiecie młodości, cały pożerany żądzą sławy, nie dziw, że zasłynęli walecznością od ośi do ośi; mogli wnijść w szranki z Polakami i żadna wojna w Polsce nie była zaciętszą, jak kiedy bojowano z synami półwyspu Skandynawii.

Polacy, choć ożywieni wojenném męztwem, dalecy byli jednak od żądzy podbojów, jedynie najświętsze umowy, albo własna i wyraźna wola sąsiednich ludów, łączyła je najsilniejszym, bo bratnim z Polakami węzłem; tak też w r. 1561 Wilhelm Fürstenberg, wielki mistrz kawalerów mieczowych, naraz uciśniony od Szwedów, Moskali i Duńczyków, oceniając swobody polskie, oddał się Zygmuntowi Augustowi, zgodnie z życzeniami ludu swojego, poddając Polsce całe bogate i przemysłem ożywione Inflanty — oto zaród niezgody Szwedów z Polakami. I dla tego przezorne Stany polskie, skoro mężny Stefan Batory życia dokonał, za staraniem mianowicie Anny wdowy, i Jana Zamojskiego K. i H. W. K., obrały królem polskim Zygmunta, królewicza szwedzkiego, już to, że z krwi Jagiellońskiéj, tyle drogiéj Polakom, pochodził, już téż, ażeby stał się najsilniejszém ogniwem zgody i zjednoczenia dwóch narodów, ale los zawistny inaczéj rozrządził.

Więcéj bojaźń, by berło polskie nie dostało się w ręce moskiewskiego władzcy, niż chęć otrzymania go dla syna, skłoniła Jana szwedzkiego, że się o nie przez posły swoje ubiegał; a tak od początku zabiegów wkradła się zaraz nieufność i dwuznaczność między strony; Szwedom szło o Estonią, Polakom, że nieznaleźli w Zygmuncie spodziewanych przymiotów.

Przy końcu r. 1592 odebrał Zygmunt wiadomość o śmierci ojca swojego, która go ciężkim przejęła smutkiem z uwagi na stan rzeczy, niepewny w obudwóch królewstwach. W Szwecyi albowiem stryj, Karól książe Sudermanii, umysłu wyniosłego i do przedsięwzięć śmiałego, o berło niespokojności wzniecał, w Polsce rozejście się sejmu bez ukojenia podejrzeń, rozjątrzenia, zawziętości prawie powszechnie obudzone, nic pomyślnego nie wróżyły; — jakoż nie chciano zezwolić na wyjazd króla wśród takich okoliczności i na sejmie warszawskim w maju 1593, kanclerz, prymas i wielu znakomitszych senatorów radzili Zygmuntowi, aby i koronę i sprawy królewstwa szwedzkiego tylko przez Posłów objął, aż dopiero po przeczytaniu listów, pisanych ze Sztokholmu, w których konieczność bytności Zygmunta w Szwecyi jasno dowiedziona była, po przyrzeczeniu powrotu w przeciągu roku jednego, stany na wyjazd zezwoliły. Zygmunt więc dnia 3. Sierpnia wsiadł na nawy, w tym celu na Wiśle przygotowane i koło Płocka,

---

a) Dzieje królewstwa polskiego przez J. S. Bandtkie, Dr. fil. Pr. i Bibl. w U. J. Tomów dwa, w Wrocławiu r. 1820.

b) Historya Jana Karóla Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana w. l., przez A. Naruszewicza; w Warszawie, ed. T. Mostowskiego, r. 1805. T. I. od stron. 44.

c) Dzieje panowania Zygmunta III. przez J. U. Niemcewicza; w Wrocławiu r. 1836. T. I. od stron 332.

d) Bataille de Kircholm, roman historique par Henri Comte Krasiński. Paris 1836. Rozdział 32gi, t. II. od stron 211.

Torunia przypłynął do Gdańska, zkąd puściwszy się w 60. okrętów, stanął dn. 10. Października w Sztokholmie. Już blisko jedenaście miesięcy upływało od śmierci Jana szwedzkiego, Karól xiąże Sudermanii, jeszcze za życia jego nieumiejący ukrywać żądzy panowania, niespokojny, zuchwały, popędliwy z natury, wiedzący jednak jak się hamować, surowy lub uprzejmy ze szlachtą, lecz z ludem poufały zawsze, Karól, mówię, nie zaniedbał użyć długiéj nieprzytomności króla, torując sobie drogę do wysokich zamysłów. Zaraz po śmierci Jana, objąwszy tymczasowo rządy państwa, wysłał do Zygmunta z doniesieniem o zgonie ojca, tudzież z odezwą raczéj, niż z prośbą, o potwierdzenie swobód narodowych, z oświadczeniem wreszcie, że do przyjazdu jego czuwać nad losami państwa i pokój z Moskwą starać się będzie zachować, a w jednymże czasie przykazał rządzcom Estonii, żeby nie ustąpili téj ziemi, chociażby król, przynaglony od Polaków, na to zezwalał. Nim jeszcze te listy doszły do Polski, xiąże Sudermanii zgromadził senat, i uchwalono, że ponieważ królewicz Jan (syn zmarłego króla z powtórnego łoża) był małoletnim, Karól w niebytności Zygmunta, za głowę rodu królewskiego i rządzcę państwa uważanym być ma. Tak rzuciwszy nowego rządu zasady, rozsiawszy wieść po kraju, że Zygmunt za powrotem swoim do Szwecyi, religią katolicką i Jezuitów zechce znowu przywrócić; naradzał się ze Stanami, jakby religią protestantską utwierdzić i wszelki wstęp do kraju Katolikom na zawsze zamknąć; w tym celu naznaczono synod w Upsalu, gdzie nawet inny arcybiskup został obranym; zatém Zygmunt, uwiadomiony wkrótce od przychylnych sobie senatorów o zaszłych w Sztokholmie uchwałach senatu i stanów, widząc, na co się zanosi, zaraz wysłał wiernych sobie Szwedów do objęcia ważniejszych zamków w Estonii i Szwecyi; równie polecił Janowi Sparr, aby przysięgę od tyle dzielnych Finlandczyków odebrał i tamże wszystkie twierdze zabezpieczył; — oto pierwsze iskry niezgody i zawiści między Zygmuntem a Karólem.

Z tém wszystkiem przyjazd króla rodaka, otoczonego małżonką, siostrą i wspaniałym dworem, niemógł być Szwedom niemiłym; łatwo więc rozsądkiem i trafnością w postępowaniu mógł był ująć serca poddanych i panowanie utwierdzić; lecz przeciwnie Zygmunt, jako w Polsce Szwedom, tak w Szwecyi samym tylko Polakom ufność swoją dawał; najpoufalszym zaś powiernikiem jego był Malespina, nuncyusz papieski, mniéj w żarliwości swojéj ostrożny, niżby w różnowierczym narodzie przystało; zapalczywe zatem o przesądy religijne powstawały rozruchy, a Karól z radością uważając wzrastające rozjątrzenia, ukryty, zręczny, na pozór ulegający, tajemnie działający najczynniéj, z udaną pokorą oddalił się wprawdzie ode dworu i spraw publicznych, lecz pobudził stany do uczynienia Zygmuntowi licznych przedstawień, które gdy on pozostawił bez odpowiedzi stanowczéj, nakoniec senat w trzy miesiące potém widział się zmuszonym zniewolić Zygmunta, iżby na koronacyą do Upsalu zjechał; — już teraz gotował mu zdradę Karól, przecież czujnością podkanclerzego Tarnowskiego i Łaskiego, wojewody sieradzkiego, zdrajca wpadł w zastawione przez siebie sieci i jedynie łagodności króla winien ocalenie życia; wreszcie skoro dopiero Zygmunt przyrzekł na piśmie stanom swobody wymagane, odbył się obrzęd koronacyjny dnia 19. Lutego 1594 r. W czasie dalszego pobytu w Szwecyi i następnie ciągnące się zatargi, zniewoliły króla, iż przywołał niejakie oddziały z Polski, co jeszcze więcéj zniechęciło ku niemu obywateli. — Wkrótce zaszłe wypadki w Polsce, odwołały Zygmunta ze Szwecyi; odjechał więc, nieprzepisawszy kształtu rządu, zostawiwszy w zawieszeniu wiele spraw ważnych, a nierozważnie, chcąc sobie niby ująć Karóla, acz nieprzytomnemu zdał rządy nad państwem, z dodaniem rady senatu; a tak Zygmunt w Szwecyi opuścił wszystko w zamieszaniu i niepewności, nie dość zręczny i uprzejmy, by umysły pozyskać; nie dość odważny i stały, by je przymusić, ani serc pociągnąć, ani władzy utwierdzić nie umiał; największem atoli było dla niego nieszczęściem, że miał do czynienia z Karólem, xięciem Sudermanii; z człowiekiem, który właśnie te wszystkie przymioty posiadał, na których mu zbywało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterode, w Prusach wschodnich, śpiewa.

W Prusach wschodnich, zwanych dawniéj książęcemi, na znacznéj bardzo przestrzeni, mianowicie zaś w tych okolicach, które się z Mazowszem stykają, przechował się dotąd język polski pomiędzy ludem wiejskim w całéj swojéj czystości. Mówią tu nawet i piszą nim tu i ówdzie wyższe stany, a duchowni nie mogą z ambony do ludu innym przemawiać językiem, gdyżby nie byli rozumiani. Jeden z tych duchownych, zacny i uczony X. Gizewiusz, pochodzący zapewne z polskiéj rodziny Giżewskich, i pełniący obowiązki przy kościele ewangelickim polskim w Osterodzie, zebrał pieśni, które lud wiejski w okolicach Osterody śpiewa, i dołączył do nich melodye. Umieszczamy tu kilka z tych pieśni; czytelnikom bowiem Przyjaciela Ludu miło będzie zapewne poznać duch i charakter ludu polskiego w Prusach wschodnich, przebijający się w tych pieśniach.

Zalétki moje
Na cóż mi wyszły?
Opuścił mię
Mój najmilszy,
A do inszéj myśli.

Choćci mię opuścił,
Ale we cnocie,
Nie zostawił mię
Mój najmilszy
W żadnéj sromocie.

W żadnéj sromocie,
Ani we złości,
a) Jeno w złém ludzkiem
Obgadaniu
A w swéj niestałości.

a) *Alias: Rozstalim się*
Z mym najmilszym
Jeszcze w miłości.

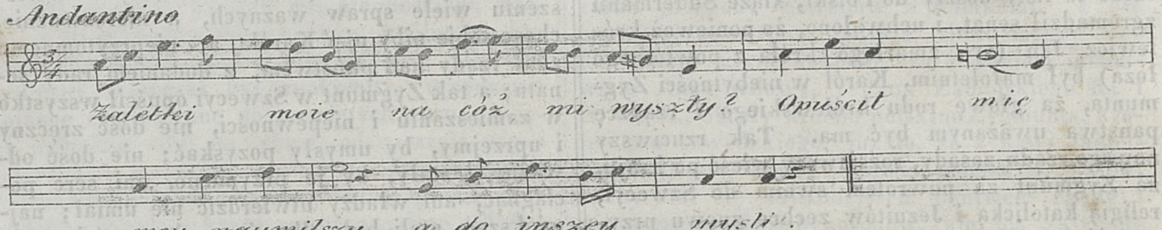
Przychodził do mnie
I namawiał mnie:
‚A ty moja
Najmilejsza
Spuszczaj się na mnie.‘

Jam się spuszczała,
Bo on mnie kochał;
Tegom w życiu
Nie myślała,
Coby mnie poniechał.

Ale nic niedbam, b)
Bo inszego mam;
Jeno mi tego
I serca żal,
Co mi przymawiał. c)

b) *Ja o cię nie dbam,*

c) *Coś mi przymawiał.*



Stoi jawór zielony,
Złotem pokrapiany;
O! jużci mnie, już odjeżdża
Najmilszy kochany.

Oj choćci on odjedzie,
To znowu przyjedzie;
Moje serce zasmucone,
Pocieszone będzie.

Przyśniło się Kasiuchnie
Na łóżku leżącéj:
Oto Jasieczek utonął
Przez Wisłę jadący.

Oj utonął, utonął,
I chusteczkę zgubił.
‚Oj wszystkoć to dla dziewczyny,
‚Com ją szczerze lubił.‘

I skoczyła Kasiuchna
Do bystréj wodeczki;
Pytała się, pytała się
Téj drobnéj rybeczki:

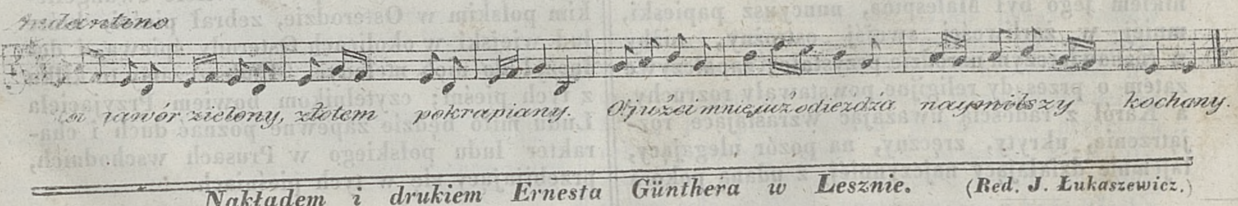
‚O rybeczki, rybeczki,
‚Dla Boga żywego,
‚Nie widziałyżeśta tutaj
‚Jasieczka mojego?‘

‚‚Oj widziałym, widziałym,
‚‚Ale nie żywego;
‚‚Ostrym mieczem przebodzone
‚‚Boki, serce jego.‘‘

I skoczyła Kasiuchna
Z mostu wysokiego,
I wydarła ostry mieczyk
Z boku Jasiowego.

I wydarła, wydarła,
Sama się przebiła,
A to małe dzieciąteczko
Na wodę puściła.

‚A kiedy już umrzewa,
‚Umrzyjważ oboje;
‚Niechże nas téż pochowają
‚W jeden grób oboje!‘



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. J. Łukaszewicz.)